

Artur Friedberg

ŚCIGANY I INNE...

OPOWIADANIA CZASU WOJNY I NIEPOKOJU



Czasy wojny i niepokoju zawsze przynoszą skrajne decyzje w sprawach najważniejszych – kiedy w grę wchodzi ludzkie życie, a zachowanie godności zostaje wystawione na próbę. Zaledwie dziewięcioletni chłopiec walczy o przetrwanie dla siebie i bliskich podczas syberyjskiej zimy. Spokojny właściciel sklepiku bławatnego zostaje partyzantem, gdy faszyci nieomal na jego oczach zabijają mu żonę i córeczkę. Lekarz żydowskiego pochodzenia próbuje ocalić siebie i rodzinę przed niemieckimi nalotami i prześladowaniami NKWD. Ale koniec wojny nie okazał się końcem czasu niepokojów.

Ścigany i inne... to kronika ludzkich losów, zbiór opowiedzianych bądź zastyszanych historii, w większości prawdziwych i przez to tak bardzo zapadających w pamięć.



Artur Friedberg

Urodził się w 1934 roku na Wileńszczyźnie. W 1941 roku wraz z rodzicami został zesłany na Syberię. Mieszkał w Szwecji, Holandii i Francji. Pracował naukowo w Polsce i Szwecji, następnie w amerykańskim przemyśle chemicznym w Holandii i Francji.

Pisać zaczął dopiero na emeryturze. Wydał trzy powieści i trzy zbiory opowiadań; wszystkie w języku angielskim. Wybrał i przetłumaczył na język polski historie, które ukazały się w pod tytułem *Zauroczenie i inne... Od lat młodzieńczych pasjonat filmu i teatru. Mąż, ojciec dwóch dorosłych synów i dziadek pięciorga wnucząt.*

Artur Friedberg

ŚCIGANY I INNE...

OPOWIADANIA CZASU WOJNY I NIEPOKOJU


Sorus

Redaktorka prowadząca
Vanessa Włodarczyk

Redakcja
Izabela Dachtera-Wałędziak

Projekt okładki
Katarzyna Plichta

Skład
Maciej Torz

Copyright © by Artur Friedberg 2023
Copyright © by Sorus 2023

Wydanie I, Poznań 2023

ISBN 978-83-67737-17-3 książka

Wydaj z nami swoją książkę!
www.sorus.pl/formularz-zgloszeniowy/

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja

DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

Niniejszych wybór opowiadań został dokonany i przetłumaczony z języka angielskiego, łącznie z obszernymi uzupełnieniami wersji polskiej, przez autora. Opowiadania zostały wybrane z trzech zbiorów wydanych w języku angielskim, jak również zawierają dwa opowiadania dotychczas niepublikowane.

- (1) A. Friedberg; Largo de Sta Luzia & other Stories. Ed. 2007, Athena Press, London. Copyrights to A. Friedberg 2007. ISBN 978-84748-058-3
- (2) A. Friedberg; A minor planet called Vertynsky & other Stories. Ed. 2015, NGP, London. Copyrights to A. Friedberg. ISBN 978-1-78507-327-4
- (3) A. Friedberg; The Spider & other Stories. Ed. 2016, NGP, London. Copyrights to A. Friedberg 2016. ISBN-978-1-7819-018-4

Spis rzeczy

Buran	7
Lew Mojszejewicz	26
Gorzki smak piołunu	44
Uciezka	71
Jabłko z kawałkiem chleba	118
Syn pułku	124
Interview	139
Ścigany*	153
Marzec 1968	179
Przesłuchanie*	188
Skarb	197

**) Opowiadanie dotychczas niepublikowane.*

Buran

Grzegorz był już ubrany i gotów do drogi. Przed wyjściem założył łyżwy na filcowe buty, tak zwane *walonki*, i bardzo dokładnie przymocował je skózanymi troczkami. Następnie napiął troczki za pomocą drewnianych kołków, tak aby łyżwy i buty stanowiły całość. Gdy wszystko było gotowe, uniósł ciężki worek z „towarem”, który miał zamiar sprzedać na rynku, i uchylił drzwi wejściowe.

„Towar” na sprzedaż stanowiły litrowe i półlitrowe butelki zbierane przez niego przez ostatnie trzy dni na okolicznych śmietnikach, oczywiście umyte. Zanim zamknął drzwi wejściowe, pomachał ręką na do widzenia do siostry i matki, po czym wyszedł. Matka była przeziębiona i silnie kaszłała; zanim jednak Grzegorz wyszedł, cicho do niego powiedziała:

– Grzesiu, mój chłopcze, bądź ostrożny, zwłaszcza na tej drodze do rynku, i wracaj szybko. Idź z Bogiem.

Na zewnątrz było bardzo zimno, zaś silne podmuchy wiatru podnoszące od czasu do czasu świeży śnieg w postaci białej mgły dodatkowo pogarszały widoczność. Grzegorz zarzucił worek na plecy, trzymając go prawą ręką, podczas gdy lewą zasłonił sobie nos i policzki. Stał w ten sposób przez dobrą chwilę, aby się oswoić z nieprzyjazną tego dnia pogodą, a w międzyczasie duży, czarny pies podwórzowy, cały zaśniewiony, przybiegł do niego, machając przyjaźnie ogonem. Grzegorz poklepał go po przyjacielsku po głowie, po czym odsunął od siebie, gdyż nie chciał, aby pies liżał go po twarzy. Brzydził się jego „uzupełniającym” pożywieniem, które stanowiły

świeże, ludzkie odchody zjadane z głodu przez psa w prymitywnej ubikacji stojącej w rogu podwórza.

Grzegorz pochylił się pod ciężarem ładunku i udał się w drogę. Przez dłuższą chwilę pies towarzyszył mu, poszczekując wesoło; po czym stanął i wolno zawrócił na zaśnieżone podwórze.

Grzegorz długimi, regularnymi pociągnięciami łyżew i rytmicznym kołysaniem ciała w lewo i prawo cierpliwie przesuwiał się drogą w kierunku rynku. Będąc jeszcze pomiędzy zabudowaniami miejskimi, stwierdził, iż wiatr co prawda jest przykry, ale tylko w podmuchach. Natomiast, gdy dotarł do obrzeży miasta i przekroczył tory kolejowe, zostawiając za sobą po lewej stronie stację kolejową, stwierdził, iż mroźny wiatr z pół wieje ciągle i jest niezwykle przenikliwy. Silne, mroźne podmuchy bardzo utrudniały poruszanie się i zatykały oddech, ale nie było wyjścia – aby móc sprzedać swój „towar”, trzeba było pokonać tych kilka kilometrów i dotrzeć do rynku.

*

Wielu miejscowych, przynajmniej w tej części Rosji, uważało dwie ostatnie zimy lat 41 i 42 za niezwykle ostre. Silne mrozy, wiatr i obfite opady śniegu dały się wszystkim we znaki, ale najbardziej dokuczyły deportowanym z zachodu, gdyż ci byli całkowicie nieprzystosowani do takich warunków klimatycznych i brakowało im ciepłej odzieży.

Grzegorz nie miał złudzeń, iż nawet jeżeli uda mu się sprzedać wszystkie butelki, które miał w worku, to zarobione w ten sposób pieniądze z trudem starczą na zakup potrzebnego jedzenia oraz być może opału do ogrzania pokoju. Chłopiec liczył na to, iż sprzedany towar przyniesie wystarczającą sumę pieniędzy, aby utrzymać

się przy życiu przez kilka następnych dni. Cała nadzieja była znów w tych pustych butelkach, które trzeba będzie ponownie zacząć zbierać już od jutra...

Z braku drewna (północne tereny przykaspjskie są słabo zalesione) głównym paliwem w piecach w tamtych okolicach był *kiziak* – rodzaj stałego opału wyrabianego z odchodów bydłych (najczęściej krowich) zmieszanych ze słomą i torfem, formowanego w duże kostki, które suszono na słońcu podczas upalnego lata.

*

Grzegorz był chłopcem zaledwie dziewięcioletnim, ale poznał już z całą jasnością praktyczne i bezwzględne prawa rządzące wprowadzonym systemem kartkowym. Te pozostałe półtora tygodnia, które musieli czekać, aby móc znów otrzymać chleb i inne produkty żywnościowe, na jakie właśnie otrzymywali kartki, to było po prostu za długo. Cała ich trójka mogła tego nie przeżyć, tym bardziej iż matka i jego młodsza siostra chorowały.

Pokój, w którym we troje mieszkali, stopniowo zamarzał, a podłoga wyraźnie zaczęła pokrywać się cienką warstwą lodu. Okrutne zimno, głód i ciągle rosnąca warstwa lodu na podłodze zaczęły mu się kojarzyć z nieomal zapomnianą bajką, którą matka czytała mu, gdy miał około czterech lat. Było to jeszcze w Polsce, w tym dalekim i nieomal nierealnym kraju obfitości, gdzie nie brakowało jedzenia ani opału; kraju, którego istnienia Grzegorz z desperacją próbował nie zapomnieć. Bajka czytana przez matkę opowiadała o małym chłopcu, którego Królowa Mrozu porwała do białego królestwa śniegu i lodu, gdzie wszystko było zrobione z zielonkawych kryształów i panowało niewyobrażalne zimno. To była okrutna historia, której mały Grzesio bardzo się bał i przypominał sobie, iż już

wówczas, pomimo bardzo młodego wieku, bajka ta oddziaływała bardzo silnie na jego wyobraźnię. Instynktownie kojarzył ją zawsze ze śmiercią.

*

W drodze na rynek Grzegorz nagle przypomniał sobie inną, a z jego naiwnego punktu widzenia „zabawną”, acz w istocie poważną i bardzo dlań pouczającą historię. Była to sprawa związana z jego pierwszymi doświadczeniami z zupełnie mu dotychczas nieznanym otoczeniem w Rosji Sowieckiej. A mianowicie – w szkole kolega z klasy zapytał go, co najczęściej jadało się na śniadanie w tej tak dalekiej Polsce. Grzegorz, po chwili namysłu, po prostu opowiedział mu, dodając, iż gdy dostarczone do domu bułki nie były świeże i chrupiące, on odmawiał ich jedzenia.

Wracając ze szkoły do domu i zastanawiając się nad swoją odpowiedzią dotyczącą jedzenia śniadania w Polsce, Grzegorz nagle stwierdził, iż w ogóle nie pamięta smaku bułek i dlatego pewnie całą tę opowieść wymyślił sobie albo po prostu skłamał... Postanowił więc zweryfikować autentyczność swojego opowiadania z matką. Opowiedział jej cały przebieg rozmowy z kolegą i czekał na jej komentarz. Ona w milczeniu patrzyła na niego przez chwilę i opowiedziała:

– Nie, Grzesiu, nie skłamałeś.

Po czym po dalszej chwili milczenia dodała:

– Ale powinieneś unikać tego rodzaju rozmów z kolegami i raczej zmieniać temat, gdyż ich wynik może być taki, iż pewnego dnia mogą nas wysłać do białych niedźwiedzi...

Być „wysłanym do białych niedźwiedzi” było popularnym określeniem zarówno w środowisku deportowanych, jak i Rosjan. Ozna-

czało dalszą deportację do północno-wschodniej Syberii, gdzie zimy były jeszcze ostrzejsze, zaś możliwości przetrwania dużo mniejsze.

– Jak wobec tego mam odpowiadać kolegom, gdy zapytają mnie ponownie o coś podobnego? – zapytał.

Patrząc mu wprost w oczy, matka odpowiedziała:

– Wiem, że tobie nie spodoba się to, co ci teraz powiem, ale powinienes im powiedzieć, że po prostu nie pamiętasz. Po czym zmień temat rozmowy i mów o czymś zupełnie innym.

Czasami Grzegorz wspominał tę rozmowę z matką i w skrytości ducha musiał przyznać, iż zachował się naiwnie. Być może naraził ich wszystkich na niebezpieczeństwo dalszej deportacji. Czuł się swoim postępowaniem zawstydzony, ale zawsze przedkładał określenie, iż postąpił „głupio”, a nie „naiwnie”, gdyż wolał czuć się dorosłym, który popełnia błędy, niż małym i niedoświadczonym „szczeniakiem”. Od czasu pamiętnej rozmowy z matką na jakiegokolwiek pytania kolegów szkolnych dotyczące życia i spraw polskich odpowiadał krótko:

– Odpieprz się!

W ten sposób częstotliwość tego rodzaju pytań zmniejszyła się znacznie; on zaś nie wchodził w szczegóły – czy konkretne pytanie wynikało raczej z ciekawości, czy też z chęci donosu...

Grzegorz nauczył się kląć po rosyjsku w szkole oraz na ulicy i mógłby z dumą zaprezentować swój bogaty repertuar, ale nigdy nie używał go w domu. To był język, który służył mu wyłącznie do porozumiewania się z rówieśnikami, a więc w szkole lub na ulicy.

*

Cała rodzina Grzegorza – jego rodzice, młodsza siostra i on sam zostali deportowani z północno-wschodniej części Polski, zwanej Wileńszczyzną, części okupowanej przez Rosję po 17 września

1939 roku, a następnie podzielonej pomiędzy Litwę i Białoruś, gdy obydwa te kraje zostały wcielone do Rosji Sowieckiej jako republiki. Powodem ich deportacji do południowo-zachodniej Syberii była spontaniczna i w gruncie rzeczy nieostrożna odmowa rodziców przyjęcia obywatelstwa sowieckiego oraz fakt, iż posiadali aptekę, a więc byli automatycznie zaliczani do burżuazji.

Pierwotnie mieli być wysłani do *Barnaułu*, miejscowości oddalonej ok. 250 km na południe od Nowosybirska, głęboko w południowej Syberii, ale zbiegiem okoliczności, z powodu nagłej potrzeby transportu dla celów wojskowych zostali po prostu wysadzeni z pociągu na stacji w małej, przemysłowej miejscowości o nazwie *Kuwandyk*, leżącej w południowo-zachodniej Syberii, zaraz za grzbietem gór Ural i w pobliżu granicy z Kazachstanem.

Jak łatwo można się domyśleć, nikt z deportowanych nie wiedział zbyt wiele zarówno o miejscowości o nazwie *Barnauł*, jak też *Kuwandyk*, ani też o losie, jaki miałyby ich w tych miejscowościach spotkać. Wkrótce po tym, jak zostali wypchnięci z wagonów w *Kuwandyku*, wręczono im dokumenty identyfikacyjne w języku rosyjskim, zaś ubrany po wojskowemu urzędnik z dumą obwieścił, iż bez żadnych zastrzeżeń przyznano im obywatelstwo Związku Radzieckiego, z czego mieli ponoć być dumni.

Większość deportowanych instynktownie wyczuwała, iż jakiegokolwiek dalsze dyskusje czy też sprzeciw w stosunku do lokalnych władz mogą jedynie pogorszyć ich i tak niepewną sytuację, więc wzięli te nowe paszporty bez komentarzy i w zupełnym milczeniu. Ich nazwiska wpisane w tych dokumentach tak zwaną *graždanką*, czyli uproszczoną, porewolucyjną cyrylicą, wyglądały dla nich jakoś dziwnie obco i zupełnie nierealnie.

Nagle wśród deportowanych rozeszła się pogłoska, iż NKWD będzie przeprowadzać osobistą rewizję w celu wykrycia nieprzekazanych władzom sowieckim polskich dokumentów. Acz wiadomość

była nieprawdziwa, wielu w panice i w obawie dalszych prześladowań po prostu zniszczyło swoje polskie dokumenty identyfikacyjne po otrzymaniu sowieckich papierów.

Rodzice Grzegorza zdecydowali się przechować polskie dokumenty, ukrywając je głęboko między odzieżą osobistą. Dla nich te właśnie dokumenty były w tym momencie jedynym dowodem ich prawdziwej tożsamości i jedyną, acz w ówczesnych realiach dość iluzoryczną, nadzieją na powrót do ojczyzny.

Kilka miesięcy później ojciec został powołany do wojska. Zanim wyjechał, odbył z Grzegorzem poważną rozmowę na osobności, polecając mu być opiekuńczym w stosunku do matki i młodszej siostry, gdyż – jak podkreślił – nie wiadomo, kiedy wróci. Grzegorz dobrze pamiętał tę rozmowę i robił, co mógł, aby polecenie to wykonywać jak najlepiej. Było to w jego przekonaniu zadanie powierzone mu przez ojca w sposób, w jaki zleca się coś poważnego dorosłemu mężczyźnie.

*

Ojca nie było z nimi już od około dwóch lat. Dostawali tylko krótkie i niewiele mówiące listy, że jest żywy i cały... Ponieważ Grzegorz w porównaniu do matki i siostry był wciąż względnie zdrowy, poczuwał się do bycia „głową rodziny”, która ma obowiązek walczyć o przetrwanie ich wszystkich. Poza szkołą zajmował się więc zbieraniem butelek i innych użytecznych rzeczy, grzebiąc kijem w stosie odpadków zbierających się w dużych ilościach na podwórkach wszystkich okolicznych domów.

Głównym towarem były jednak butelki, które mył i następnie sprzedawał na rynku, zaś za uzyskane pieniądze kupował tamże chleb i pewną ilość warzyw. Wypracowany przez niego system działał sprawnie, ale uzyskanych w ten sposób funduszy nie wystarcza-

ło, aby móc kupić *kiziak* na opał, podczas gdy temperatura w ich pokoju ciągle spadała.

W tamtych czasach prawa rynkowe działały zadziwiająco prosto i sprawnie: jak długo utrzymywały się silne mrozy, tak długo ceny żywności i opału rosły. W ten sposób jego dochody ze sprzedanych butelek ciągle nie nadążały za wzrostem cen żywności i opału. Jakkolwiek butelki były wówczas produktem potrzebnym, ale także popularnym i dostarczanym na rynek przez wielu chłopców takich jak Grzegorz; w związku z czym ich ceny nie należały do zbyt wygórowanych i trudno było liczyć na większy zysk.

Wyprawy na rynek z butelkami były dla Grzegorza również rodzajem rozrywki, tym niemniej wiązały się one z pewnym ryzykiem, zwłaszcza dla chłopca w jego wieku, a mianowicie: można było zostać potrąconym lub przejechanym przez sanie lub samochody, których woźnice/kierowcy byli często pijani albo – gdy się miało pecha – można było zostać pobitym i obrabowanym przez wagabundę. Ci zaś często ubierali się na półwojskowo i nazywali siebie weteranami wojennymi (niektórzy z nich rzeczywiście nimi byli), a takie „drobne” pobicia najczęściej uchodziły im bezkarnie.

Najgorszym przypadkiem według Grzegorza było zostać obrabowanym z łyżew przez starszych chłopców popularnie nazywanych *żulikami* albo ironicznie *myśliwymi* (j. ros. *охотнику*). Ich technika działania była prosta i polegała na tym, iż łapali młodszych chłopców jeżdżących na łyżwach za pomocą stalowego haka na sznurku, rzucanego pod nogi łyżwiarza; następnie jednym ruchem pociągali za sznurek i błyskawicznie przewracali ofiarę, odcinając brzytwą łyżwy od butów. Po czym spokojnie sprzedawali je na rynku. Ponieważ Grzegorz nie mógł sobie pozwolić na ewentualny zakup kolejnych łyżew, tego rodzaju *żulików* obawiał się najbardziej.

Jeżdżąc na łyżwach z dala od domu, Grzegorz zawsze rozglądał się bardzo uważnie i w wypadku gdy zauważał w pobliżu jakiegoś

żulika, natychmiast przyspieszał lub zaczynał uciekać po prawej stronie drogi. Po chwili zmieniał ją na lewą, biegnąc wzdłuż przeciwnej krawędzi drogi, często w głębokim śniegu, aby w ten sposób zgubić prześladowcę.

Oczywiście zawsze liczyło się na ruch drogowy w przeciwnym kierunku, który stanowił zaporę dla goniącego *żulika*. Taki manewr należał do najbardziej niebezpiecznych, gdyż aby go wykonać skutecznie, należało zmienić stronę tuż przed nadjeżdżającym z przeciwka pojazdem. Wymagało to odwagi, szybkiej decyzji oraz refleksu. Gdy manewr udawał się bezbłędnie, miało się dużą satysfakcję, zaś koledzy oceniali taką „figurę” za wyczyn „artystyczny”, zwłaszcza jeżeli został wykonany dosłownie w ostatnim momencie.

Z chwilą gdy prześladowca zostawał daleko z tyłu, Grzegorz powracał do długich i regularnych kroków łyżwiarskich. Wygrany wyścig z kolejnym łowcą łyżew nie wbijał go w przesadną dumę, ale zawsze uśmiechał się do siebie i mówił: „Znów byłem szybszy i miałem dużo szczęścia”. Pomimo niebezpieczeństwa związanego z takim wyczynem zawsze był gotów do kolejnej próby sił; bardziej chyba dla zabawy niż z konieczności, ale również na pokaz, dla uzyskania uznania ze strony kolegów za artystyczny popis łyżwiarski.

Trików drogowych na łyżwach nauczyli go koledzy z klasy, a on jak dotąd wykonywał je z talentem i dużym powodzeniem. Matce o swoich wyczynach łyżwiarskich nigdy nie opowiadał, gdyż wiedział, iż byłaby niezadowolona. W dżungli ulicznej, w której Grzegorz wzrastał i w której często głodni „myśliwi” polowali na równie głodne „ofiary”, jak wielu innych chłopców stopniowo stawał się jednym z nich; członkiem „stada”, istot całkiem nieźle przystosowanych do istniejących, twardych warunków.

W *Kuwandyku* był jedynie mały rynek zwany *tolkuczka* (j. ros. *толкучка*), zaś główny rynek znajdował się w odległości około pięciu kilometrów na północny wschód od miasta. Droga prowadząca do rynku była bardzo uczęszczana i nawet zimą ciemniejsza od zupełnie białego otoczenia pól. Latem na drodze tumany kurzu ciągnęły się za każdym przejeżdżającym pojazdem, zaś jesienią i wczesną wiosną droga tonęła w błocie. Natomiast od połowy października do końca kwietnia pokryta była regularnie prasowanym śniegiem, którego powierzchnię stanowił wielowarstwowy plaster nadtopionego i następnie zamrożonego lodu. Tego rodzaju nawierzchnia, twarda jak beton, była świetnym torem łyżwiarskim dla młodocianych łyżwiarzy takich jak Grzegorz, którzy często jeździli na rynek, aby kupić lub sprzedać coś „wartościowego”.

W przeciwieństwie do chłopców na łyżwach sanie z zaprzęgiem konnym lub ciężarówki były zimą na tejże drodze zawsze w poważnych kłopotach. Droga wiła się z prawa na lewo dość ostrymi zakrętami i kierowcy mieli z nią zawsze poważne problemy, aby utrzymać się na tak śliskiej, oblodzonej nawierzchni i nie wylądować w głębokich zaspach śnieżnych na poboczu.

Rynek znajdował się na dnie płaskiej i dość wysoko położonej kotliny, oddzielony od miasteczka *Kuwandyk* wzgórzami, które miejscowi nazywali *kurhanami*, zaś dalej, za rynkiem, dolina schodziła w dół i otwierała się niezmierną przestrzeń stepu syberyjskiego. Posuwając się drogą z miasta, osiągało się przez krótką chwilę szczyt wzgórza. Za nim zjeżdżało się w dół do kotliny, można było wtedy rzucić okiem na otwarty step. Na wschód, aż po horyzont, rozciągał się płaski, pusty, bardzo wietrzny i nieprzyjazny krajobraz; na północ i południe – w oddali majaczyły szarobłękitne sylwetki gór, zaś stosunkowo blisko rynku, u wylotu doliny, wiła się niewyraźna droga skręcająca dalej na południowy zachód. Łączyła

ona rynek z *aulami* koczujących Kazachów, mieszkających w okresie zimowym gdzieś tam w swoich *juritach* na dalekich stepach.

Jesienią, zanim step pokrywał się śniegiem, było wyraźnie widać, iż nie jest to teren wyłącznie płaski. Dało się zauważyć liczne wąwozy wyżłobione przez sezonowe, wiosenne i szybkie strumienie z gwałtownie topniejącej pokrywy śnieżnej. W wąwozach rosły gęste krzaki i karłowate drzewa. Jesienią razem z matką Grzegorz zrywał z tych drzew małe, ciemne owoce czeremchy; zjadali je świeże i zbierali do suszenia na zimę. Późną jesienią zaś zbierali również chrust na opał. Zimą natomiast pójście w otwarty step było przedsięwzięciem zbyt ryzykownym, gdyż intensywne opady wyrównywały teren i można było zupełnie niespodziewanie wpaść do takiego wąwozu, nadzieć się na coś ostrego i zostać tam na zawsze. Prócz tego łatwo traciło się orientację, a znalezienie właściwej drogi powrotnej mogło zająć godziny lub całe dni.

W okresie niskich temperatur, a więc późną jesienią i zimą, większość mieszkańców tamtych stron trzymała się w pobliżu wsi lub miast. Ich głównym problemem w tym czasie było zdobycie pożywienia i opału, których większość nie miała w nadmiarze, zaś pieniędzy na ich zakup z reguły brakowało.

Wiosna była znacznie przyjemniejszą porą roku; nie tylko dlatego, że było cieplej i step zielenił się oraz skrzył barwami wiosennych kwiatów i wysoką, srebrzystą stepową trawą zwaną *kawyl*, dającą na wietrze złudzenie fal morskich, ale również dlatego, iż kazachscy koczownicy rozstawiali swoje *jurty* w pobliżu i sprzedawali po przystępnych cenach różne produkty żywnościowe.

Jednym z produktów był na przykład rodzaj sera o różowym kolorze i słodkawym smaku, zwany *rahmzq*, albo płaskie placki pieczone w prymitywnym piecu, wprost na rozżarzonych węglach lub rodzaj żywicy do żucia w kształcie niedużych kostek, zwanych *sagusem*, który był swego rodzaju gumą do żucia, wyrabianą z soku

drzew rosnących w wąwozach. Sok zbierano wczesną wiosną, następnie gotowano z różnymi dodatkami, zaś produkt końcowy przybierał kolor czarny jak smoła.

Dzieci bardzo lubiły *sagus*, gdyż ten spełniał rolę surogatu jedzenia. Innym rodzajem uzupełniającego pożywienia lubianego zarówno przez dzieci, jak i dorosłych były pestki słonecznikowe, przypiekane na płycie pieca kuchennego. Pestek tych na rynku na ogół nie brakowało z powodu obecności dużych plantacji słoneczników na ziemiach graniczących z otwartym stepem, ale na ten przysmak trzeba było czekać aż do sierpnia. Trzecim surogatem jedzenia okazywało się kino, gdyż gdy brakowało tych dwóch pierwszych, zawsze łatwiej można było od rodziców dostać pięć rubli na kino, niż otrzymać dodatkową kromkę chleba.

*

Grzegorz ześlizgnął się na łyżwach w dół, wprost do kotliny, w której znajdował się rynek, hamując po drodze przez krótkie zwroty łyżew w prawo i w lewo, jak przy zjeździe na nartach, i wzbijając przy tym obłok śniegu. Będąc już na rynku, wybrał sobie uprzednio upatrzone strategiczne miejsce, gdzie rozlokował swój „business”, po czym wyjął z worka przywiezione butelki i postawił je na kawałku kolorowego batystu rozłożonego wprost na śniegu. Butelki ustawiał rzędami, według pojemności, tak aby potencjalni kupcy bez trudu mogli znaleźć potrzebny im towar.

Tylko jednej butelki Grzegorz nie chciał wystawiać na sprzedaż – była to mała butelka w kolorze kobaltowego błękitu ze złotym korkiem. Już w bardzo wczesnym dzieciństwie, jeszcze w Polsce, Grzegorz doświadczał zupełnie dla niego niewytłumaczalnego uwielbienia dla błękitu kobaltowego. Potrafił stać i wpatrywać się

całymi godzinami w błękitny neon kina, odbijający się w ciemnej witrynie sklepowej po przeciwnej stronie ulicy. Teraz, mając śliczną buteleczkę w tym właśnie kolorze, zdecydował się nie sprzedawać jej, chyba że nie byłby w stanie sprzedać pozostałych butelek – zielonych i bezbarwnych, o pojemności litrowej i półlitrowej.

Ciocia Marina, handlarzka sprzedająca świeże i suszone owoce, zamówiła sobie u niego taką właśnie małą, w kolorze kobaltowym butelkę na perfumy i dwukrotnie w ciągu tygodnia przypominała mu o swoim zamówieniu, obiecując zapłacić za nią pięć rubli i dodać garść suszonych owoców. Z tego powodu Grzegorz umieścił tego dnia swój „business” nieco dalej od niej, aby nie być przez nią ponownie o tę butelkę nagabywanym.

Stanął w pobliżu dobrze mu znanych handlarzy samogonu – mętnego i silnie śmierdzącego napoju, który sprzedawali wprost z sań. Grzegorz znał ich handlowe obyczaje – samogon był przywożony w dużych kankach na mleko i odmierzany klientom półlitrową miarką na mleko przez lejek, wprost do butelek. Grzegorz miał nadzieję, iż tego dnia będą mieli większe zapotrzebowanie na swój towar z powodu zimna, w ten sposób on pozbyłby się wszystkich swoich butelek. Nie pomylił się – sprzedał wszystkie przywiezione przez siebie butelki po standardowej cenie i do tego dość szybko. Następnie kawałek batystu, który używał pod butelki, złożył w płaski kwadrat i włożył sobie pod kurtkę, dociskając pasem.

Mając pieniądze za butelki w kieszeni i ciągle kobaltową buteleczkę w worku, udał się do innej części rynku, gdzie kupił 150 gramów chleba, kilka marchewek i buraków, a więc dokładnie to, o co matka go prosiła. W ten sposób wydał praktycznie prawie wszystkie zarobione przez siebie tego dnia pieniądze. Z żalem stwierdził, iż to, co mu zostało, nie wystarczy na kupno kawałka ciastka, które miał zamiar na miejscu zjeść.

Ciastko, na które miał taką chęć, było w istocie kawałkiem sprasowanych wytłoczn słończnikowych, zwanych popularnie *żmych*, polanych z wierzchu ciemną, słodkawą melasą. Pokusa sprzedania kobaltowej buteleczki, aby kupić ciastko była silna, gdyż doskwierał mu głód, ale równie silna była chęć zachowania buteleczki, gdyż drugiej takiej samej pewnie tak łatwo by nie zdobył. Stał tak przez dobrą chwilę przed stoiskiem z ciastkami i namyślał się, jak ma postąpić.

Nagle dotarło do niego: ludzie w pobliżu wskazywali coś w kierunku horyzontu, nerwowo pakując swoje towary i w pośpiechu opuszczając plac rynkowy. Wszyscy wokół niego wyglądali na niezwykle zdeterminowanych do ucieczki przed niejasnym i nieodwołalnym niebezpieczeństwem, podczas gdy on ciągle myślał o tym ciasteczku, na które miał tak wielką ochotę.

Dopiero po chwili zrozumiał, iż ludzie powtarzają ciągle to samo słowo: *buran, buran*. W tym momencie uświadomił sobie, o co chodziło: *buran* – lub inaczej mówiąc – zamieć śnieżna z bardzo silnym wiatrem i trwająca od kilku minut do kilku dni, której wszyscy bardzo się bali, nieodwołalnie zbliżała się do nich. Grzegorz odwrócił się w kierunku wskazywanym przez ludzi. Nisko na horyzoncie zobaczył z kierunku południowo-wschodniego szeroką, szarą chmurę, dziwnie połyskującą w zachodzącym słońcu, która zbliżała się do nich z niezwykle dużą prędkością. Sprawiało to wrażenie, jakby olbrzymi walec z szarej, połyskującej waty przewalał się przez step. Grzegorz był zdumiony tym niezwykle dziwnym zjawiskiem i szybkością, z jaką ono się zbliżało.

Widowisko było tak urzekające, iż przez moment zapomniał o groźącym niebezpieczeństwie i stał wpatrzony w ów niezwykle, połyskujący walec, który dotarł już niebezpiecznie blisko. Po chwili Grzegorz ocknął się i zaczął biec razem z innymi w kierunku drogi pnącej się pod górę i wiodącej ponownie do miasta. W przeciagu

minuty droga stała się kompletnie zatłoczona przez ludzi desperacko przepychających się do wylotu kotliny. Grzegorz był często spychany na pobocze lub też zmuszony ustępować drogi saniom z zaprzęgiem konnym.

Ponieważ nie chciał zostać przejechany albo zdeptany przez tłum, w pewnym momencie po prostu zatrzymał się na skraju drogi, obserwując w panice uciekającą masę ludzką. Ucieczka ludzi z rynku była w pełni uzasadniona: *buran* regularnie zasypywał zamkniętą dolinę rynku kilkumetrową warstwą śniegu, z której trudno było się wydostać, a pod którą można było również zostać na zawsze... Jeśli się miało pecha.

Pierwszą oznaką załamania pogody i zbliżania się *buranu* były silne podmuchy wiatru, które z wyciem unosiły w powietrze śnieg, utrudniając widoczność i dodatkowo przyspieszając ruch panicznie uciekających przed zamiecią ludzi. Gdy w końcu Grzegorz również osiągnął szczyt wzgórza i spojrzał do tyłu, stwierdził, iż rynek jest nieomal kompletnie opustoszały.

Nagle zaczął padać śnieg i zrobiło się zupełnie ciemno, podczas gdy wiatr ciągle się wzmaczał. Zaspy śnieżne przewalały się przez drogę, a pył śnieżny zmieszany z gęsto padającym śniegiem przemieszczał się w podmuchach z dużą prędkością i wyciem w postaci wirujących, białych obłoków tuż nad powierzchnią ziemi. Chwilami widoczność malała do kilku metrów. Grzegorz po raz pierwszy doświadczył burzy śnieżnej poza miastem. Obawiał się, że może stracić orientację i zgubić drogę.

Rozpaczliwymi pociągnięciami łyżew przesuwiał się w kierunku migotliwych świateł miasta, mając nadzieję, iż jak długo będzie czuł pod nogami twardą nawierzchnię drogi, nie zabłądzi. Nagle wszystko znikło z pola widzenia, a on wylądował w głębokiej zaspie śnieżnej gdzieś na poboczu. Po chwili uświadomił sobie, iż orientując się wyłącznie na światła miasta, zapomniał o tym, że zjeżdżając ze

szczytu wzgórza w kierunku miejscowości, droga w pewnym miejscu skręcała w lewo, podczas gdy on, patrząc na światła, przeciął ją trawersem i znalazł się poza jej torem. Po krótkiej i rozpaczliwej walce z sypkim i głębokim śniegiem udało mu się wydostać z zasy. Otrzeptał się ze śniegu i tym razem już ostrożniej zaczął posuwać się w kierunku miasta. Spóźnione sanie w zaprzęgu konnym minęły go, a woźnica krzyknął tylko:

– Pośpiesz się, chłopcze, jeżeli nie chcesz zgubić się na dobre!

Przy silnych podmuchach wiatru zarówno jego głos, jak i dzwonek na uprzęży konia brzmiały słabo i nikły w tumanach śniegu przewalających się przez drogę. Grzegorz chciał poprosić woźnicę, aby go podwiózł, ale nie zdążył – sanie minęły go szybko i znikły w ciemności. Grzegorz uświadomił sobie, że został sam i zaczął się bać jeszcze bardziej.

Naciskał więc desperacko na łyżwy, aby resztką sił jak najbardziej zbliżyć się do miasta. Było mu bardzo zimno, a i głód coraz wyraźniej dawał się we znaki; całe jego drobne ciało dygotało spazmatycznie, czuł, jak resztki sił opuszczają go. Nieoczekiwanie potknął się na czymś, upadł i boleśnie rozbił sobie lewe kolano i dłonie, które instynktownie wyciągnął do przodu, aby zmniejszyć siłę upadku. Usta miał pełne śniegu, do tego zgubił worek z wartościową buteleczką i zakupami żywnościowymi.

Tego mi tylko brakowało! – pomyślał, rozcierając stłuczone kolano i rozglądając się za zgubionym workiem.

Ciągle siedząc na drodze, poruszył łyżwą przedmiot, o który się potknął, sądząc, iż był to nawóz koński wmarznięty w zlodowaciałą drogę. Niespodziewanie przedmiot ten przesunął się bez trudu. Było to coś podłużnego, prostokątnego, z wyglądu przypominającego tabliczkę czekolady. Sięgnął po to i stwierdził, iż istotnie jest to tabliczka czegoś sprasowanego. Ze środka, z lekko naderwanego opakowania, wystawało coś czarnego. Grzegorz zgarnął śnieg z ta-

bliczki i przeczytał napis: „*Autentyczna Herbata Gruzińska; prasowana, 250 gramów*”. Nigdy takiej prasowanej herbaty jeszcze nie widział, jedynie słyszał jako o czymś luksusowym, na co niewielu mogło sobie pozwolić.

Uświadomił sobie, iż ktoś musiał tę tabliczkę zgubić, uciekając w popłochu przed *buranem*. Rozejrzał się ostrożnie; w pobliżu nie było nikogo szukającego zgubionej tabliczki herbaty i nikogo, kto mógłby mu tę herbatę odebrać... Schował ją więc za pazuchę i mocniej dociągnął pasek, aby jej nie zgubić. Po chwili szukania znalazł również worek zawierający bardzo wartościową buteleczkę i zaopatrzenie żywnościowe, które kupił; wszystko to leżało wciąż na drodze w pobliżu miejsca upadku, przysypane świeżo padającym śniegiem.

Ciągle kulejąc, Grzegorz dotarł wreszcie do pierwszych zabudowań miejskich. Nie znał wartości rynkowej znalezionej tabliczki herbaty, jak też nie obchodził go pech nieznanego mu osoby, która tę tabliczkę zgubiła; interesowało go jedynie jak najszybsze dotarcie do domu i czy zdaniem matki sprzedaż tej herbaty może przynieść wystarczająco dużo pieniędzy, aby przetrwać przynajmniej przez tydzień. Grzegorz zaczął przemykać w kierunku domu, w którym mieszkali sobie tylko znanymi skrótami, ale mógł się poruszać jedynie z najwyższym trudem z powodu zmęczenia, bólu kolana i dużej ilości nowo usypanych zasp śnieżnych nieregularnie leżących pomiędzy domami. Na szczęście siła wiatru spadła, a mróz nie dokuczał już tak dotkliwie. W końcu dotarł do domu. W sumie około dwie godziny później, niż się go spodziewano. Matka była szczęśliwa, iż widzi go ponownie żywym.

*

Następnego dnia matka sprzedała znaną tabliczkę herbaty. Jakie było zdziwienie Grzegorza, gdy stwierdził, iż za pieniądze ze sprzedaży herbaty kupiła tak niezwykle dużo rzeczy: cały wóz (około 350 sztuk) *kiziaku* na opał, naftę do lampy i jedzenia na całe dwa tygodnie. Ciężki kryzys, w jakim znajdowali się jeszcze dzień wcześniej, został zażegnany, a on nie musiał następnego dnia po szkole ponownie wychodzić i grzebać w śmietnikach w poszukiwaniu towaru na sprzedaż.

Jedynym problemem, który go wciąż nurtował, była reakcja matki na widok tabliczki herbaty, którą wyjął z za pazuchy po powrocie z rynku: sądziła, że Grzegorz ją po prostu ukradł, zdesperowany z powodu głodu i zimna. W swoim ciągle jeszcze dziecinnie prostolinijnym sposobie myślenia jej reakcję Grzegorz odebrał z mieszanym uczuciem zdziwienia, oburzenia i gorzkiego żalu, gdyż dla niego kradzież wciąż jeszcze nie była akceptowalną alternatywą na przeżycie. Jak dotąd wierzył, iż matka wiedziała o tym i była tego pewna!

W końcu przekonał ją, iż on tę herbatę znalazł, pokazując rozbite do krwi kolano i obydwie dłonie, jak też częściowo rozdarte opakowanie, w które wbiła się łyżwa; ale pozostał mu gorzki smak podejrzania o kradzież... Matka ze łzami w oczach powiedziała, usprawiedliwiając się:

– Nie powinieneś się na mnie gniewać za to, co powiedziałam. Przecież sam rozumiesz, iż tabliczka takiej herbaty w twoich rękach była dla mnie tak niezwykle wyjątkowym wydarzeniem, że zwyczajnie nie mogłam w to uwierzyć... Przecież to był po prostu cud, który nas uratował.

Grzegorz nie był jednak pewien, co ma sądzić o jej braku zaufania do niego i po raz pierwszy coś w rodzaju cienia padło na jego stosunek do matki. Z doświadczenia swoich kolegów wiedział, iż większość dorosłych nie dowierza dzieciakom, nawet własnym, jednakże dotychczas uważał, iż jego matka stanowiła wyjątek.

Ta historia z herbatą zmieniała wszystko i pozbawiła go złudzeń. Cicho i bez wielkich słów zastanawiał się, czy nie powinien dodać swojej matki do listy innych rodziców, równie nieufnych w stosunku do swoich dzieci.

Pomijając ten jeden nieprzyjemny incydent, Grzegorz czuł się prawie szczęśliwy. Pierwszy raz od wielu tygodni nie był głodny. Jego młodsza siostra też nie była głodna, nie płakała i już usnęła. Matka była zajęta krojeniem jarzyn przygotowywanych do gotowania wraz z mięsem na rodzaj dania, które będą jedli przez następnych kilka dni, podczas gdy on siedział w ciepłym pokoju w pobliżu paleniska i skupił się na obserwowaniu migocących płomyków przez magiczną kobaltową buteleczkę.

Myślami przeniósł się ponownie do ich mieszkania w Wilnie, wyobrażając sobie, iż znów stoi przy oknie i wpatruje się w odbicie błękitnego neonu kina w wystawowym oknie sklepu z butami po drugiej stronie ulicy. Przynajmniej w tej chwili wszystko wokół niego wydawało się być znów takie jak dawniej. Chłopiec stopniowo zapadał w sen. Cały świat przedstawiał mu się kolorowo-błękitny i piękny, i przynajmniej przez chwilę również tak niezwykle bezpieczny.
